



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.

CERVANTES

(1547 — 1614).

Prawdziwie wielcy mężowie na polu nauki i działalności społecznej należą do całej ludzkości, bo z biegiem czasu z prac ich korzystają wszyscy. Należy więc o nich wiedzieć, bez względu na to do jakiej należą narodowości.

Przed 300 laty ukazała się w Hiszpanii książka pod tytułem „Szlachetny rycerz Don Kiszot (Don Quixote) z Manszy,” powieść rycerska, która rozeszła się po całym świecie i tłumaczona była na wszystkie europejskie języki, bo była dziełem istotnego talentu, przedstawiając pewną stałą cechę duszy ludzkiej — chęć poświęcenia się dla drugich.

Wprawdzie bohater jest śmiesznym, pełnym złudzeń, wyobrażający sobie w pastuchach niewinne ofiary, a w skrzydłach wiatraka jakichś zbójców, ale pomimo to szlachetna strona jego duszy jest tak wzniosła, z taką prawdą przedstawiona, że biedny Don Kiszot został na zawsze symbolem marzycieli, goniących za ideałem poświęcenia dla bliźnich.

Autor tej książki miał również piękny charakter, a był nim Hiszpan, Michał Cervantes ur. 1547 r. pochodzący zubożałej szlacheckiej rodziny.

Już w szkołach mówiono o nim jako o poecie, napisał też mnóstwo drobnych wierszyków, piosenek, powieści, dramatów i komedji, niespożytym jednak arcydziełem pozostanie zawsze jego Don Kiszot, satyra o rycerzu rzymskim.

W życiu całym doświadczał Cervantes ubóstwa i nędzy; zniechęcony do pisania przeniósł się w r. 1569 do Włoch, gdzie znalazł przytułek u kardynała Juliusza Aquavivy; niedługo jednak tam przebywa, nie znajdując zadowolenia w życiu spokojnym, wstępuje w szeregi Marka Colony i uczestniczy w wyprawie wojennej przeciwko Turkom.

W następnym roku bierze udział w sławnej bitwie morskiej pod Lepanto, gdzie zostaje ranny i wskutek tego traci władzę w lewej ręce na całe życie.

Wracając do Hiszpanii w r. 1575, dostaje się do niewoli słynnego w owe czasy korsarza Mami'ego, a zachowanie się jego w czasie tej niewoli doskonale charakteryzuje wzniosłą jego duszę.

Jeńcy korsarza prze-



Michał Cervantes.

myśliwali nad sposobem ucieczki, jeden z nich odkrył nad brzegiem morza nieznaną jaskinię, a Cervantes dowiedziawszy się o tej kryjówce, ułożył następujący plan ucieczki:

— Ten z nas, który pierwszy zostanie wykupiony, zobowiąże się przysięgą, że w kilka dni po powrocie do ojczyzny, podpłynie ponownie nad brzegi Algieru, aby zabrać pozostałych towarzyszy, którzy ukryci w owej jaskini, oczekiwać będą umówionego znaku.

Wykupiono wreszcie jednego niewolnika z rąk okrutnych rozbójników, ten odnowił przysięgę i wyjechał — nazywał się Viana, pochodził z wyspy Majorjki.

Dla pozostałych w jaskini rozpoczęły się dni niepewności i niepokoju. Czy Viana dotrzyma przysięgi? czy plan się uda?

Wiedziano, że okrutny Mami odcina uszy swym więźniom i skazuje na tortury za najmniejsze przewinienie. Zapasy żywności zgromadzone ukradkiem w jaskini malały z każdym dniem pomimo, że jeden z więźniów pozostał przy korsarzu tylko pozornie, w celu dostarczania żywności, ale to było niedostateczne i cierpiano głód.

Wreszcie po upływie tygodnia ujrzano zbliżający się mały statek, a na nim umówiony i upragniony znak.

Większość jeńców chciała zaraz pośpieszyć na zbawczy okręt, ale Cervantes przekonał ich, że powinni czekać na towarzysza, który z narażeniem własnego życia codziennie zaopatrywał ich w żywność.

Postanowiono czekać.

Tymczasem korsarze spostrzegli nieznaną okręt, powstał ruch na wybrzeżu, a Viana, obawiając się ponownej niewoli, odплыnął na pełne morze i zniknął z horyzontu.

Rozpacz ukrytych jeńców w jaskini była straszna. Spodziewano się, że zbawczy okręt wróci jeszcze — niebawem jednak znikły wszelkie nadzieje.

Na drugi dzień zjawił się towarzysz, na którego czekali i przez którego ucieczka się nie udała, lecz nie sam, bo sprowadził Mami'ego, zdradziwszy zamiar swoich towarzyszy.

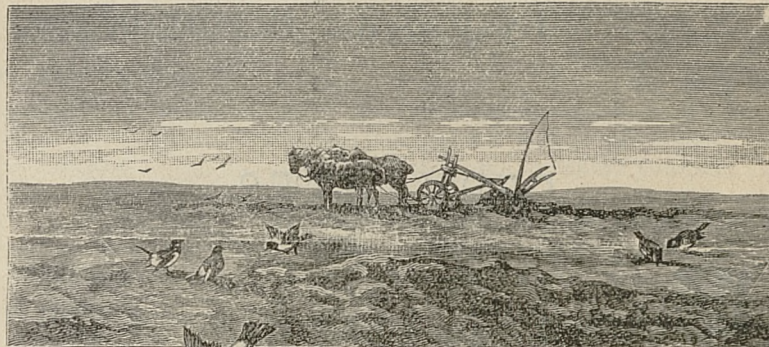
Wszyscy struchleli... Cervantes bez chwili namysłu oświadczył korsarzowi, że to on osnuł plan ucieczki i namówił towarzyszy, że jego tylko kara należy, zwłaszcza, że posiadając tylko jedną rękę mniej jest niż inni pożyteczny.

To ocalało uwięzionych. Mami sam niesłychanie odważny, cenil ten przymiot u innych, podobały mu się śmiałe i szlachetne słowa poety. Uwolnił więźniów od kary, a Cervantesowi obiecywał wolność i dowództwo na jednym ze swoich okrętów, jeśli przejdzie na wiarę Mahometa.

Cervantes odrzucił propozycję, przytaczając przysłowie Maurytańskie: „Ze złego chrześcijanina nie będzie nigdy dobry muzułmanin.” Odtąd niewola dla Cervantesa była lżejsza, a po jakimś czasie odzyskał wolność; lecz po jedenastu latach dopiero ukazała się pierwsza część znanego dziś powszechnie arcydzieła.

Bezwątpienia celem Cervantesa było ośmieszenie tak zwanych w owym czasie ksiąg rycerskich, które pisane napuszonym stylem, psuły język, dobry smak, urągały logice, np. w taki sposób: *Niewaga zniewagi, którą sprawujesz w mojej rozwadze, tak niweczy równowagę mojej uwagi, iż nie bez wagi żalić się odważam na twojej piękności przewagę.*

Ale prócz humoru i dowcipu, Cervantes przedstawił, jak zauważyliśmy na początku, bezustanną skłonność do ludzienia się i pragnienie poświęcenia, które tkwią na dnie każdej ludzkiej duszy.



Na Matkę Boską Siewną.

Na Matkę Boską, hej, na Siewną
Budzi się jesień z czarą kras,
Pierwszy liść złoty roni las..
W pół przestrzeń nagą i rozwiewną
Wychodzi siewca z nutą rzewną
W poranku słodki czas.

* * *

A w szczerem polu z każdej strony
Rozpierzchła we mgłę niknie dal.

Naksztalt zakrzepłych w biegu fal
Do nóg przypadły mu zagony.
Hen, błękitnieje las omglony,
Jak kosy wyszczerbiona stal.

* * *

Gnie się pod stopą ziemia czarna,
Mrieł się srebrzysty mota zwój.
...Jak zabiegliwy pszczołny rój
Sypią się z góry złote ziarna.

Czyż praca rąk nie będzie marna,
A krwawym siewcy znój?

* * *

Łzą trwoźnych przeczuć łśni powieka
.. Czyż ujrzy upragniony plon?
I kielkowania chlebných łon
Stroskany siewca czy doczeka?

Hej płacz oracza!... Hen, z daleka
Na Anioł Pański bije dzwon!

Miles.

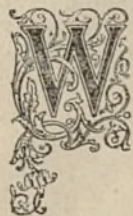
PSIE POLE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA DLA MŁODZIEŻY

przez

Włodzimierza Trąpczyńskiego.

(Dalszy ciąg).



Wiem, że jesteś dobrą i że wrusza cię los moich najbliższych, nie rozumiem jednak, w jaki sposób możesz mi być pomocną. Zrobiłaś już bardzo wiele, gdy wskazałaś mi tę łódkę, której używają wartownicy, ażeby czynić podjazdy, reszta w ręku Boga i w mojej sprawności.

— A jednak zaręczam ci, że jeszcze nie spełniłam wszystkiego, co w mojej leży mocy — zaśmiała się córka Wincza, — wątpię też, czy dałbyś sobie radę, gdyby nie mój sposób uspienia czujności wartowników.

— Może poczęstujesz ich makiem, ażeby zasnęli twardo? — z uśmiechem również zapytał Dobek.

— Nie potrzeba aż takich środków, wystarczy, gdy pójdę na górę, wdam się z nimi w gawędę i tym sposobem odwrócę uwagę. Tylko sprawiaj się szybko — dodała filuternie — w przeciwnym razie zabraknąć mi może gadek do zabawiania straży.

Półmrok opanował już świat, gdy toczyła się ta rozmowa, wkrótce też coraz ciemniej zaczęło się robić, deszcz padał miarowo, spokojnie i cisza zaległa zupełna. Jeszcze tylko dokonano zwykłych czynności, podniesiono mosty, rozstawiono strażę i zwolna wszystko chylić się zaczęło ku spoczynkowi wieczornemu.

Brysia, stosownie do obietnicy, pobiegła na strażnicę górną, że zaś bywała tu częściej nawet podczas nieobecności ojca, więc nie dziwowano się wcale temu przybyciu, które nie przedstawiało nic niezwykłego. Dziewczę lubili wszyscy, rozweselić bowiem umiała poważnych nawet bojowników, zajmowało ją dużo spraw, mówiła z wielką znajomością rzeczy o rzemiośle rycerskim, była szczebiotliwa i miła, więc też i tym razem zachowywała się tu swobodnie.

Całe jej zadanie polegało na tem, ażeby przedewszystkiem odciągnąć głównego wartownika z galerii zewnętrznej do komnaty i w tym celu zużyła całą zręczność i przebiegłość młodego a sprytnego dziewczęcia. Powiodło się to Brysi nareszcie, wartownik nie podejrzujący nic, dał się nakłonić do zejścia na chwilę z czatów, ażeby zaś ta „chwila” trwała jak najdłużej, to już rzecz Winczówny.

Dobek, który czekał tylko na znak, który Brysia przyrzekła mu przesłać z wieży, ujrzał raz jeszcze dziewczę na galerii. Mignęła i zniknęła z oczu, a równocześnie łódka-łupinka pomknęła od rzegu i skierowała się ku sitowiu.

Chłopiec pracować musiał ciężko i wyęczać wszystkie siły, ażeby przedrzeć się przez gęsty miejscami, to znów rzędniejący nieco las trzciny nadbrzeżnych. Łódka chybołała niejednokrotnie, było to bowiem maleńkie czółenko, wykrojone z jednej sztuki drzewa, zakończone ostro i służyć mogące tylko osobie, która w pozycyi na pół leżącej z wielką wprawą umiała utrzymać równowagę. Łódki tego rodzaju czy na wywiadach, czy w pościgach świetne oddawały na Gople usługi, najmniejsze jednak uchybienie, niezręczność, nawet zbyt raptowne poruszenie wiosłem spowodować mogło wywrócenie. Ile też razy

Dobek wypadał z łódki, ile razy czepiać się musiał łupinki, ażeby przebrnąć i dopłynąć pod wieżę, tego nie zliczyłby on sam nawet. Czasami opadały go siły i ogarniało zwątpienie, a łzy niemięskie ukazywały się w oczach, ale myśl, że Brysia śmiałaaby się z niego, myśl o ojcu i Kruszyńce dodawała mu nowej energii, dzięki czemu dotarł nareszcie do podnóża wieży i odetchnął uradowany.

Radość nie trwała jednak długo, przeciwnie rozpacz malowała się na jego twarzy, gdy Dobek, opływając wieżę, ujrzał wielką ilość okienek i nie wiedział, do którego się zwrócić.

— Co teraz pocznę? — zadumał się biedny chłopiec. Połowę zadania spełniłem, druga jednak czeka mnie jeszcze połowa do spełnienia, a ta trudniejsza daleko. Wiem, że tu w pobliżu znajdują się wszyscy oni, dokąd się wszakże skierować i gdzie zapukać?

Nie śmiał zawołać nikogo po imieniu, bojąc się, ażeby głos jego doleciał uszu wartowników, uspiołych wprawdzie w swej czujności przez Brysię, ale w każdym razie znajdujących się przecież na posterunku. Opłynął dwukrotnie wieżę, zatrzymywał się, liczył, że może przecież ktośkolwiek da znak życia z zewnątrz, wszystkie te jednak zabiegi okazały się płonne; nie mogąc zaś przedłużyć jazdy, zawrócił w końcu i smutny, zgnębiony, z powrotem przedierał się przez trzcinę.

Łódkę przywiązał na tem samym miejscu, na którem znajdowała się zawsze i usiadł przy brzegu, oczekując na przyjście Brysi. Teraz dopiero spostrzegł biedny Dobek, że jest przemoknięty do nitki, i że w takim odzieniu nie może stanąć przed ludźmi. Zziębnięty zwał się cały, gdy go odszukała Brysia.

— Boże! jak ty wyglądasz! — zawołała, ujrzawszy chłopca. — Twarz cała czarna od mułu, ręce krwią ociekłe.

— Przedzierałem się przez trzcinę, jak ci to wiadomo, nic więc dziwnego, że poraniłem ręce. Gorzej jednak, że pomimo tylu trudów nie dotarłem do nikogo z naszych.

— Nie dotarłeś? Dlaczego? Czyżby kto przeszkodził? — strwożone zapytało dziewczę.

— Nikt, na szczęście, nie przeszkadzał, wieżę opłynąłem nawet dwukrotnie nie dostrzeżony przez nikogo, na drugi raz śmielej też, znając drogę, puściłbym się mógł na wywiady. Cóż jednak z tego przyjdzie, skoro nie wiemy, z poza których okienek będę mógł dostrzedz oblicze ojca, lub Kruszyńki.

Dziewczę zamyśliło się poważnie, ale zaraz podniosła Brysia głowę i rzekła:

— Prawda, nie wiemy, gdzie okno Kruszyńki, jutro jednak dam ci już wyraźne wskazówki. Wypytam się zgrabnie, albo też podejrzę dozorcę, gdy udawać się będzie do lochów z wodą i pożywieniem.

— Daj Boże! — westchnął Dobek — cały wieczór i tyle trudów straconych napróżno.

— Bądź jaknajlepszej myśli — odparło dziewczę — dużo przeszkód musi przewyciężyć ten, kto chce dojść do celu.

Rozeszli się każde w swoją stronę, przyrzekając sobie zejść się jutro o oznaczonej porze w tem samym miejscu nad sitowiem.

Brysię nie mało kosztowało trudów, całej też użyć musiała przebiegłości, ażeby tak rozpatrzyć się w rozkładzie lochów, jak tego wymagała potrzeba dania wskazówek Dobkowi. Powiodło jej się to w końcu, któryż bowiem z dozorców podejrzewałby ulubienicę wszystkich, dobrą i łagodną córkę Wincza o jakieśkolwiek złe zamiary?

Na drugi dzień znów z niepokojem i niecierpliwością oczekiwali nadejścia zmroku i kiedy słońce

zaszło, Dobek tą samą drogą, tym razem dobrze już sobie znaną, puścił się na łódce-łupinie pod mury strażnicy. Przepawa cięższa była, aniżeli poprzednio, niebo bowiem nie darzyło ziemi deszczem obfitym, a księżyc sprawiał, że z galeryi wieżowej widzieć można było dokładnie wszystko, co się dzieje na jeziorze. Potrzeba było zatem niezmiernej ostrożności, a życie przemykającego się wśród trzcin nadbrzeżnych Dobka ciągle wisiądo na włosku i lada chwila strzała, wypuszczona z łuku strażnika, ugodzić mogła w łódkę i odważnego pływaka. Gdyby też nie Brysia, która z przedziwną chytrnością umiała zabawiać strażników, z pewnością nie dokazałby Dobek tej sztuki i nie dotarłby do okna lochu, w którym przebywał Kruszyńka.

Ale nawet dotarłszy, natknął się syn Maćka na nową przeszkodę. Kruszyńka odzwyczajony od dźwięków mowy ludzkiej, ani przypuszczał, ażeby z zewnątrz nadejść mu mogła jakaśkolwiek pomoc, Dobek znów, nie mógł nawoływać, ani też nawet przemówić zbyt głośno, w ciszy bowiem wieczornej każda rozmowa żywsza musiałaby dojść do uszu strażników. Dobek rozpaczliwie łamał ręce a łyzy, spowodowane rozżaleniem nad własną niemocą, cisnęły mu się do oczu, myśl jednak, że po powrocie nieudanem dzielna córka Wincza wyśmiejje go, wydrwi i uważać będzie za tchórza, dodała mu odwagi do przedsięwzięcia prawdziwie karkołomnego.

(d. c. n.)

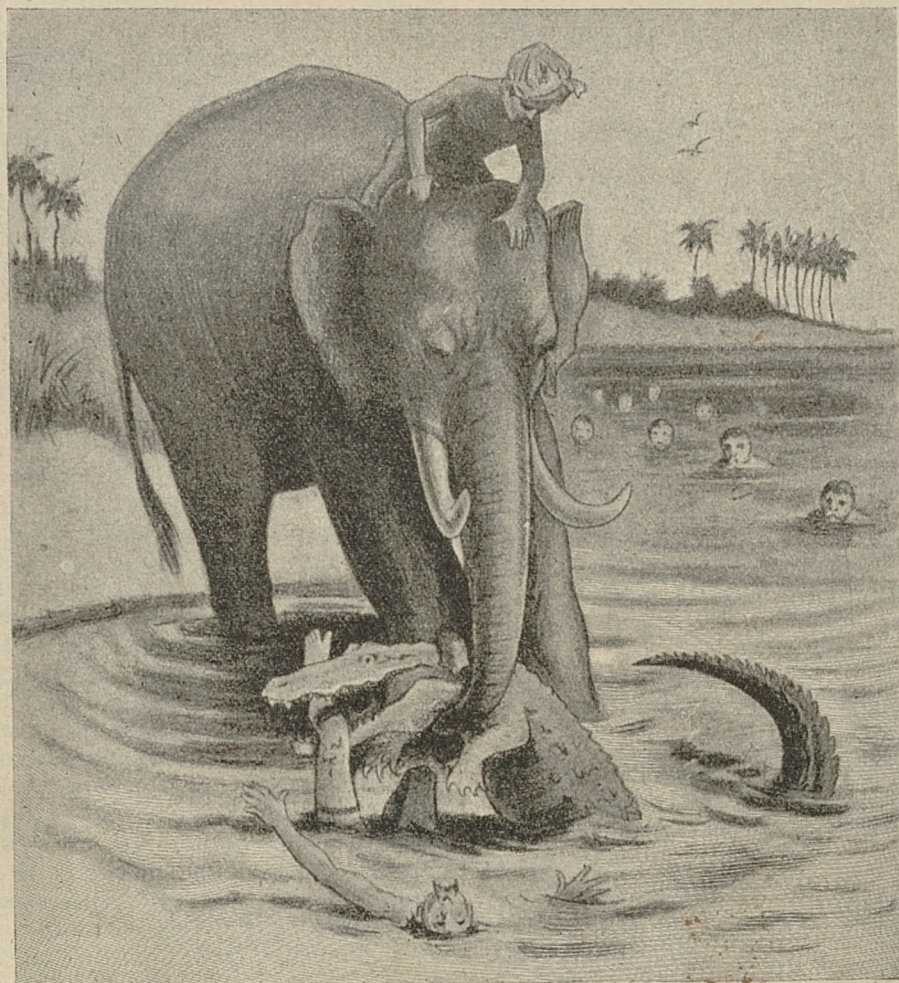


Jęczmień dwurzędowy, obok kłosek (a) i ziarna na plewach (c).

Jęczmień czterorzędowy (zwyczajny).

Jęczmień sześciorzędowy.

Do opow. „Ze wspomnień słońca.”



...upatrzawszy chwilę, schwyciłem krokodyla za kark i wyrzuciłem na ląd.

B. Dyakowski.

NASZE ROŚLINY UPRAWNE.

(Dalszy ciąg).

Zato napewno krupy perłowe cieszą się wziętością u wszystkich Zoś, co to już z natury muszą być gospodarne — tak przynajmniej twierdzi przysłowie: „każda Zosia — gospośia.” Bo czyż to nie uciecha dostać ze spiżarni garść krup jęczmiennych i posypać je ulubionym czubatym i nie czubatym kurkom, oraz inszemu ptactwu.

Taką Zosię z perłowemi krupami i z ptactwem znajdziemy nawet w „Panu Tadeuszu.” Jeden dowód więcej gospodarności Zosi.

Zosia w porannym stroju i z głową odkrytą
Stała, trzymając w ręku podniesione sito.
Do nóg jej biegtwo ptactwo.

A ona:

Czerpie z sita i sypie na skrzydła i głowy
Ręką białą, jak perły, gęsty grad perłowy
Krup jęczmiennych.

Wprawdzie gospodarstwo Zosi Mickiewiczowskiej możnaby podać nieco w wątpliwość, bo, jak poeta objaśnia dalej, ziarno to było najprzedniejsze, przeznaczone do zaprawy rosółów, a Zosia brała je dla kur potajemnie.

Zosia, je wykradając z szafy ochmistrzyni
Dla swego drobiu, szkodę w gospodarstwie czyni.

Ziarno jęczmienne stanowi bardzo dobry pokarm nie tylko dla kur, ale i dla innych zwierząt domowych. Nadaje się on wybornie do tuczenia trzody chlewnej i bydła opasowego, jak również do karmienia koni w zastępstwie owsa. Słoma jęczmienna, pomieszana z koniczyną, stanowi również bardzo zdrową, posilną paszę.

Słowem, jęczmień nie dorównywa wprawdzie znaczeniu pszenicy i żyta, jest jednak bądź co bądź, pożytecznym zbożem, bo ludzie i sami go jedzą i karmią nim swój dobytek. Nic więc dziwnego, że był i jest uprawiany w całej Europie środkowej i że

nie brak go w żadnym gospodarstwie. Ba! nietylko go nie brak, ale nawet znajduje się bardzo często w nadmiarze; większe gospodarstwa produkują znaczne ilości jęczmienia na sprzedaż w kraju, a także na wywóz za granicę. Czyżby ludziom tak chodziło o kaszę perłową? Czy o kleiki?

Nie. Jęczmień dostarcza jeszcze jednego produktu i w niem leży główne jego znaczenie dla ludzi. Z jęczmienia robią sód, a ze srodu piwo. Żyto i pszenica dostarczają nam chleba, jęczmień — napoju. Największa ilość wyprodukowanego jęczmienia używa się właściwie do browarów, na wyrób piwa.

Przyzwyczajiliśmy się wszyscy uważać piwo za napój czysto niemiecki. Tymczasem było ono i u nas napojem narodowym, znajdującym się w pospolitem użyciu u wszystkich warstw narodu. Surowy klimat Polski nie nadawał się do uprawy wina, wino więc w dawnych czasach należało do napojów zbytkownych, podawanych jedynie na stołach książąt i możniejszych panów. Ogół cenił nawet więcej piwo: „o wino mało dbam, kiedy piwo dobre mam” — powiada dawne przysłowie, a inne głosi: „szklanka piwa a kęs chleba, więcej człeka nie potrzeba”.

Na tle tego powszechnego zamiłowania piwa powstał nowy spór między Polakami a Niemcami, któremu z tych narodów należy się zasługa wynalazku tego napoju. Władysław Syrokomla z racji tego sporu ułożył żartobliwy wiersz pod tytułem: „Napis na kufu”.

Niemcy nam chcieli ukraść Kopernika;
Z przywłaszczonego odarto ich blasku,
Chcieli nam dowieść, że piwo wynika
Z ich wynalazku.

Ale w Dytmara pismach zostawiona:
Pamiętka stara, kronikarska, żywa:
Bolesław Wielki przyjmował Ottona
Kufelkiem piwa.

W rzeczywistości spór ten jest dosyć czczy, bo piwo znali już Rzymianie i zwali je „cerevisia”, a jeszcze dawniej umieli je wyrabiać Egipcjanie. Jeżeli więc już nawet wynalazek piwa mamy zaliczyć do zaszczytnych, to w każdym razie zasługa ta nie przypadnie w udziale ani nam ani Niemcom.

Faktem poza tem pozostanie, że zarówno Polacy, jak i Niemcy sztukę tę posiadali od dawna. Galus, kronikarz z XII w. pisze, że Piast przygotowywał już piwo na postrzyżyny jedynaka; niemieccy kronikarze opowiadają o Bolesławie Chrobrym, że był wielkim zwolennikiem tego napoju. To samo zresztą można powiedzieć o innych królach i książętach, o stanie rycerskim lub włościanach.

Dziwić się temu nie można: wówczas nie znano jeszcze różnych napojów używanych dziś przez nas, jak herbata lub kawa, a że przy dużym spożywaniu mięsa, jakie bywało w tych czasach łowieckich, potrzeba było koniecznie jakiegoś napoju podniecającego, piwo więc niejako stało się koniecznością.

Użycie jego przetrwało prawie aż do XIX w., jedynie pod koniec ustępując nieco miejsca winu, które zresztą nigdy nie przestało być napojem niejako odświętnym, podawanym przy końcu obiadów na ucztach lub na przyjęciu znakomitych gości. Piwo pijano rano w postaci polewki z grzankami (tak zwanej „gramatki”), z żółtkiem lub bez niego; zastępowało ono naszą herbatę lub kawę. Następnie stanowiło konieczny dodatek do obiadów. Kitowicz, opisujący obyczaje z czasów saskich, powiada, że „piwa dawano do stołu, ile kto chciał”, ale wina lub miodu tylko „po kieliszku albo szklance”. Piwo wywożono w pole dla żeńców w czasie żniw. Bez piwa nie obeszła się żadna uczta, żadna uroczystość, jak to i dzisiaj jeszcze jest u ludu we zwyczajach, a sta-

rodawna pieśń weselna o chmielu czyli właściwie o piwie:

Oj, chmielu, chmielu, ty bójne ziele
Nie będzie bez cię żadne wesele. —

dowodzi, iż dawniej używanie jego na weselach stanowiło zwyczaj powszechny u wszystkich warstw narodu.

Piwo, naturalnie, przyrządzano najpierw wyłącznie w domach, a chociaż browary zaczęto zakładać już w wieku XII i piwowarstwo stało się z czasem ważną gałęzią przemysłu krajowego, po domach nie przestano warzyć piwa aż do połowy prawie XIX w.

Ciekawa tylko rzecz, iż wyrabiano je początkowo nie z jęczmienia jak dziś, ale z pszenicy i piwo pszenne utrzymało się aż do wieku XVII, w XVI w. spotykamy już wprawdzie wzmianki o piwie jęczmiennem a także owianem, jęczmień atoli wziął górę nad pszenicą dopiero w wieku XVII.

Skoro piwo grało tak ważną rolę w życiu naszych przodków, godzi się poświęcić mu nieco uwagi i zapoznać się bliżej z jego wyrobem.

Piwo przyrządza się z tak zwanego srodu, to jest z wykiełkowanych ziarn zbożowych, najczęściej z jęczmienia lub owsa (piwo owsiane), rzadziej z pszenicy lub żyta. Nazwę swą sód otrzymał od wyrazu słodki, a to dla smaku słodkawego, który posiada zawsze. Smak ten powstaje wskutek przemiany mączki zawartej w ziarnie na cukier.

Mączka, znajdująca się w nasieniu, przeznaczona jest do odżywiania zarodka, kiedy zacznie on kiełkować. Zarodek jednakże z samej mączki nie może zupełnie korzystać, jest ona bowiem nierozpuszczalna w wodzie, nie może więc wytworzyć soku odżywczego. Przemiana się też ona zawsze w okresie kiełkowania w cukier, który jest rozpuszczalny w wodzie, nadaje się doskonale do odżywiania zarodka.

Przemiana ta zachodzi w ten sposób, że pod wpływem wilgoci w ziemi oraz ciepła, w nasieniu wytwarza się pewien ferment, zwany dyastarz. Ma on własność przemieniania mączki w cukier. Dyastarz może wytwarzać się nietylko w ziemi, ale i w spichrzach, jeżeli tam zakradnie się wilgoć, a powietrze jest dość ciepłe. Zarodek, otrzymując pokarm z tego cukru, zaczyna wydłużać się i rosnąć, czyli jak się to mówi nasienie kiełkuje.

(d. c. n.)

ZE WSPOMNIENIĄ SŁONIA.



ym rozwiął się, wieczerzę spożyto, węgle dogasały na ognisku. Dozorcy słoni rozłożyli odzież na ziemi i ułożyli się do snu pod gołym niebem, gdyż noc była ciepła, a w chatach powietrze duszne i gorące.

Pod rozłożystemi konarami drzew tamaryndowych stały dwa słonie niby dwa posągi milczenia, rozmawiały jednak z sobą mową niezrozumiałą dla człowieka i dla uszu jego niepochwytą.

— Słyszałeś wołanie, mój bracie?

— Nie słyszałem żadnego wołania.

Trzy noce z rzędu dochodzi mnie z dalekiej północy od dżungli *) głos jakiś, który nie daje mi spokoju.

*) Nazwa puszczy w Indyach.

— Co to być może, bracie Singo? Wszak mi-
nęły już dni zebrań gromadnych naszych braci, ży-
jących na swobodzie.

— Inne to ma znaczenie. Czy zwróciłeś uwagę
na rozmowę naszych dozorców podczas wieczerzy?

— Tak jest, prawili różne niedorzeczności. Je-
den z nich dziwił się, że martwych słońi nie znajdo-
wano dotychczas w dżunglach i przypuszczał, że mu-
si być jakiś nieznany kraj, niedostępny dla myśli-
wych, gdzie słońie udają się, aby złożyć kości swoje.

— Ja również poczytywałem to za niedorzeczne
opowiadania tych ludzi przy ogniu obozowym, ale
w ostatnich czasach pewna wątpliwość zbudziła się
we mnie. Głos jakiś jakby wzywał mnie na północ,
wyobraźnia przedstawia obraz jakiejś miejscowości
nie oglądanej dotąd, lecz znajdującej się daleko, da-
leko, w północno-wschodniej stronie. Droga tam pro-
wadzi przez zarośla trzciniowe, dla słońi jedynie do
przebycia możliwe. Po tych zaroślach następują
trzęsawiska zdradne i niebezpieczne, wśród nich wi-
dzę przejścia tak wyraźne, że trafiłbym tam choć-
by w nocy. Dalej ciągnie się ukryty wśród gór wą-
wóz i przezeń dojść można do cienistej okolicy, oto-
czonej skałami kilka tysięcy stóp wysokimi. Wpo-
środku kotliny znajdują się ciche, ciemne, głębokie
jezioro, a na wybrzeżach jego bieleją kości i kły nie-
liczonego mnóstwa słońi; tu, nie wątpię, jest cmen-
tarz naszych zmarłych. Stary jestem i nadchodzi
ostatnia chwila życia mego. Dlatego to głos wewnę-
trzny, który ludzie nazywają instynktem, przywołuje
mnie do doliny „Spokojnego Snu”.

I poco miałbym wysługiwać się dłużej? Całą se-
tkę lat pracowałem dla człowieka, po piaskach pu-
styni szedłem za pieszym żołnierzem, dźwigając na
grzbiecie ciężar kilkunastu centnarów, wyciągając
z mułu broń i armaty, zastępując pracę sześciu wo-
łów a dwunastu mułów, pełniąc bezustanku wciągu
każdej pory roku służbę przy wojsku, przy radzach,
przy myśliwych. Teraz co noc odczuwam żywiej
pragnienie zrządzenia z siebie przykrego jarzma, chęć
powrotu do wolnych gromad naszych braci i znalezie-
nia wreszcie doliny „Spokojnego Snu”. Radbym do-
wiedzieć się czegoś o trybie życia na wolności, gdyż
wspomnienie o tem zatarło się w mej pamięci.

— Czy podobna, abyś zapomniał zupełnie o dniach
swobody?

— Byłem mały, gdy mnie pochwycono i nie przy-
pominam sobie okoliczności towarzyszących memu
uwięzieniu. Zachowałem tylko niejasne wspomnienie
o licznej zebraniu naszych współbraci, lubo nie przy-
pominam sobie prowadzonych wówczas tańców i za-
baw. Ty, Singo, musisz lepiej wiedzieć o wszystkim.

— Mnie pochwycono, niestety, już dorastającym
i nie zapomnę nigdy rozkosznej swobody lat mło-
dych. Krążyliśmy wedle woli po wzgórzach, nie wi-
dząc nigdzie śladu człowieka, nie doświadczając bó-
lu, który sprawia zakładane w wargi wędzidło. Nie
zapomnę wesołych wiosennych igrzysk: zbierania się
gromadnego, dzikich ryków tysięcy słońi, szalonych
pląsów przy świetle księżycy. Sto lat temu! Sto
lat, a jednak tak świeżo jeszcze mam w pamięci owe
rozrywki młodości. Teraz jeszcze krew żywiej pły-
nie w żyłach, gdy wspomnę o walce, jaką stoczyć
musiałem dla zdobycia przewodnictwa nad całą gro-
madą.

Gdybyśmy pozostali przezornie wśród puszczy na-
szych, nie zdołaliby nas nigdy pochwyć! Na nie-
szczęście zeszlismy w dolinę zamieszkaną przez lu-
dzi, znajdując, że ich zboże i trzcina cukrowa nader
są smaczne. Odstraszała nas krzykiem, zapędzali w głę-
bokie doły i padło kilku naszych towarzyszy. O zja-
wieniu się naszym doniesiono myśliwym, którzy też

przybyli zaraz, zaprzysięgłszy nam zgubę. Dnia je-
dnego, gdyśmy wyszli z naszej nocnej przystani, zo-
staliliśmy otoczeni przez ludzi. Nie zbliżając się zby-
tecznie do nas, stanęli rzędem dokoła, a gdyśmy pro-
bowali przedrzeć się przez ich szeregi, straszili nas
rozpalonem łuczywem i prażyli strzałami. Całą noc
trzymałi rozniecony ogień; nie śmieliśmy natrzeć na
nich. Nie będąc zresztą zaczepiani, paśliśmy się spo-
kojnie, czekając, aż ludzie odejdą sobie, ale oni stali
uparcie na swoich stanowiskach. Dziesiątego dnia,
gdy pastwisko było już objedzone, naradzaliśmy się,
jak postąpić wypada, gdy naraz napastnicy otacza-
jący nas ustąpili z jednej strony, zostawiając wolne
przejście. Podążyliśmy w tym kierunku, a ludzie
pędzili za nami, z głośnym krzykiem. Przejście zwę-
żało się stopniowo i wpadliśmy w wysokie ogrodze-
nie, którego bramę zatrzasknięto za nami.

Wtedy dopiero pojeśliśmy, że wpadliśmy w za-
sadzkę; dokoła ogrodzenia ciągnął się rów głęboki,
a za nim był parkan okryty zielenią. Kilku z nas
próbowało rozwalić bramę; byłiby może tego doka-
zali, ale ludzie rzucali nam płonące głównie i strze-
lali z broni palnej, co nas straszło bardzo.

Po chwili, gdyśmy się trochę uspokoiłi, uchylono
bramy i weszło do środka kilka oswojonych słońi,
tak! naszych własnych braci, na których siedzieli
przewodnicy. Słońie te stawały po obu stronach ka-
żdego z nas, niby żołnierze przy więzieniu, póki nie
nałożono mu pęt na nogi i nie przywiązano do pnia
grubej drzewa. Biedne pochwycone w ten sposób
zwierzę szamotało się czas jakiś, widząc jednak bez-
skuteczność czynionych wysiłków, ukorzyć się mu-
siało przed potęgą woli człowieka.

Nie chciałem być więziony sromotnie i probo-
wałem pozabawić życia ludzi, którzy nakładali pęta
na nogi moich towarzyszy, oni kryli się wtedy za
swoje słońie. Nie mogąc mi nic poradzić, dozorca
przywołał „Rustama”.

Olbrymi ten słoń z ogromnymi kłami wkroczył
do ogrodzenia. Napadł na mnie, chcąc przełamać
mój opór, ale ja odważnie stawiałem mu czoło. Odgłos
uderzeń kłów naszych odbijał się dalekim echem do-
koła. Miałem więcej siły, przeciwnik mój jednak
nauczył się od człowieka sztuki nacierania na wroga
i obezwładnił mnie po dwakroć, chwytając łeb mój
między kły swoje. Zaciekli w boju, szamotaliśmy się
dłuższą chwilę, a wszyscy ustępowali ze strachu przed
nami.

Przewodnik „Rustama” głośnem nawoływaniem
podniecał jego zapalczywość; sądzę, że byłbym po-
konany, gdyby nie to, iż ów człowiek zbliżywszy się
nieco, zranił mnie w ramię ostrym żelazem. Oszałały
z bólu i gniewu, rzuciłem się na Rustama, chwyci-
łem go kłami za gardło i wepchnąłem w rów. Słoń
i jego przewodnik znaleźli się na łasce mojej; był-
bym się z nimi prędko załatwił, gdyby nie to, że za-
raz kilku ludzi wpadło do ogrodzenia z płonącymi
żagwiami i odstraszyli mnie w ten sposób.

Za wyjątkiem mnie wszyscy towarzysze moi
mieli już założone więzy.

Wtedy wpuszczono ułaskawionego słońia, samice
zwaną „Moti”, prawdziwą perłę piękności, z oczami
jak gwiazdy. Ona pieszczołliwie gładzić mię zaczęła
po czole, a trąbą zasłoniła mi oczy tak, że nie wi-
działem skradającego się człowieka, który założywszy
sznury na tylne nogi, przywiązał mnie do drzewa.

Wpadłem w złość; ciągnąłem sznury z taką siłą,
iż mniemałem, że albo drzewo wyrwę z korzeniem,
albo nogi połamię. Trwało to tak długo, póki nie
osłabłem z wysilenia. Ludzie stali dokoła i naigra-
wali się z moich daremnych wysiłków; wtedy ogar-
nął mnie strach przed władzą nielitościwego czło-

wieka! Zrozumiałem, że muszę być posłusznym jego woli.

Dotychczas ognia jedynie bałem się w życiu. Widziałem na kilka mil płonące stopy, olbrzymie przepalone drzewa, walące się niby kłosa w polu; z przerażenia uciekałem przed straszliwym żywiołem wraz z innymi licznymi gromadami spłoszonych zwierząt. Teraz po raz pierwszy ujrzałem ogień jakby powolne narzędzie w ręku człowieka.

Bezpieczni w głębi dżungli, rozmawialiśmy często, czem jest nasza siła w porównaniu z siłą tych pigmejów, zwanych ludźmi. Sądziłyśmy, że parę setek nas razem zebranych mogłoby zburzyć ich miasta i zagrzebać cały ród ludzki na ziemi, tymczasem kilku takich ludzi zdołało pochwycić i uwięzić gromadę naszą z dwustu sztuk. W dżunglach słonie jedynie torują sobie drogę, cóż jednak ona znaczy wobec dróg torowanych przez człowieka, który nie cofa się przed niczem! Gdy mu stanie na przeszkodzie góra, on ją przebija, rzekę przejdzie suchą nogą, ujarzmi nie tylko dzikie zwierzęta, ale ogień i wodę. Uznałem, że byłoby szaleństwem stawiać mu opór, bo człowiek stał się władcą sił przyrody.

Pierwszy mój dozorca obchodził się ze mną łagodnie i szczyił się mną jako „największym słoniem w służbie Sirkara.” Kłty moje budziły podziw całego miasta; ludzie schodzili się zewsząd, aby je oglądać. Niebawem stałem się ulubieńcem całej osady. Małe dzieci nawet znosiły mi słodycze a ja pieszczotliwie unosiłem je w trąbie na uciechę matek; niebawem rodzice, ich dzieci i ja zaprzyjaźniliśmy się szczerze.

Dnia jednego, niosąc mego dozorcę na karku, wszedłem do rzeki. Używali tam kąpeli żołnierze angielscy, a jeden z nich pochwycony został za nogę przez krokodyla. Biedny człowiek byłby bezzwłocznie padł ofiarą żarłocznego potwora, gdyby nie to, że stojąc blisko, na rozkaz dozorca ująłem w trąbę żołnierza. Krokodyl ciągnął z jednej strony, ja z drugiej i biedak mógł być rozerwany, ale upatrzwszy chwilę, schwyciłem krokodyla za kark i wyrzuciłem na ląd, gdzie go zaraz stojący tam ludzie dobili. Żołnierz odniósł ciężkie rany, z których wyleczył się jednak. Towarzysze jego przez wdzięczność założyli mi złote obrączki na kłty, gdy zaś chory wyzdrowiał, usiadł mi na karku a przystroiwszy mnie we wstążki i różnokolorowe chorągiewki, przy dźwiękach muzyki objeżdżał dokoła namiotów obozowych, wobec całego zebranego pułku.

(d. n.)

ZAGADKA REBUSOWA.

uł. Aes.

Niechaj każdy zagadkę
Pilnie czytać raczy:
Z spółgłoski samogłoska,
A wszystko nic znaczy.
Jak widzimy zagadka
Brzmi krótko i ładnie,
Lecz jeszcze ładniej będzie,
Gdy ją kto odgadnie.

SZARADA.

Pierwsze samogłoska, a drugie i trzecie,
To powiat, przy warszawskim łatwo go znajdziecie.
Cały swemi pracami wiedzę wkoło szerzy
I ciekawe powieści pisze dla młodzieży.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 34-go.

Zagadki rebusowej: Wisła.

Zadania literowego: 1) Paryż. 2) Tatry. 3) Warta.
4) Wenus. 5) Łomża. 6) Aktor. 7) Rybak. 8) Bułka. 9) Eliza.
10) Ogary. 11) Ekran. 12) Arbuz.

Paweł Krueger.

Od przytułku św. Zofii dla sierot.

Podczas pobytu na letnisku dziewcząt, z przytułku św. Zofii, w skutek pożaru drewnianego budynku spaliły się: sukienki, bielizna i trzewiki 42 dziewcząt.

Może więc zamożniejsze panienci, a przede wszystkim Zosie, zechcą ofiarować składkę ohooby najmniejszą na kupno bielizny i obuwia dla biednych dziewczynek, które po pożarze zostały bosa i prawie bez ubrania, a znajdują zapłatę i pociechę w serduszkach, iż spełniły szlachetny uczynek.

Ofiary na ten cel składać można w przytułku Plac św. Aleksandra Nr. 13; chętnie też pośredniczyć będzie w tym ozy nie miłosiernym Redakcyja Wieczorów Mazowiecka 10.

OGŁOSZENIA.

Dla Dzieci.

Najpraktyczniejsze palta, sukienki, garnitury.
Najmocniejsze mundurki, fartuszki, ponczoszki.
Wszelka bielizna. Garnitury do chrztu, wyprawki.

Trykotaże francuskie, chroniące od zaziębienia.

Obstalunki przyjmuje się ze swoich i powierzonych materyałów. Robota akuraterna.

W magazynie JANINY Mazowiecka 12. 6—2

Przypominamy o wczesnem **ODNOWIENIU PRENUMERATY** na kwartał IV dla uniknienia zwłoki w przesyłce pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośzeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Cervantes (z ryc.) — Na Matkę Boską Siewną, wiersz Mileca (z ryc.) — Psie pole, powieść Włodzimierza Trąmpczyńskiego. — Nasze rośliny uprawne, przez B. Dyakowskiego (z ryc.) — Ze wspomnień słonina (z ryc.) — Łamigłównki i rozwiązania. — **Dodatek:** Dary, przełożyła z angielskiego M. G. (z ryc.) — Poseł niebieski, wiersz przez K. Glińskiego. — Moje opowiadania, przez Zofię Bukowiecką. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Żarcik.

Bezpłatny dodatek książkowy: Sewerka, powieść przez W. Marrene-Morzowską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 23 Агвста 1904 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balinska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka 15.

DARBY.

przełożyła z angielskiego
M. G.

(Dalszy ciąg).

Dzieci skamieniały z otwartymi ustami. Pudding stygł na talerzach. Nikt się nie ruszał.

Nagle ustrojona w pióra głowa usunęła się ostrożnie i czar prysnął... Przykro mi bardzo, że pierwsze słowa Antei były:

— A co! czy nie mówiłam?

Pudding stracił urok dla wszystkich. Pozawijawszy z pośpiechem w stare gazety, dzieci schowały go za piec, pobiegły co tchu na górę, rozejrzęć się w położeniu i złożyć radę wojenną.

— Pogódźmy się! — zaproponował wspaniałomyślnie Cyryl, gdy wpadli do sypialnego pokoju matki. — Panterko! bardzo żałuję, że był taki niegrzeczny!

— Nie gniewam się — odpowiedziała z równą wspaniałomyślnością Antea. — Sam teraz widzisz, kto miał słuszność?

Ale z okna nie było widać śladu Indyan.

— No i cóż? — zapytał Robert. — Co teraz zrobimy?

— Jedna tylko jest rada — odpowiedziała Antea, uznana przez resztę rodzeństwa za bohaterkę nieszczęsnego dnia. — Przebierzmy się za Indyan i wyglądajmy oknami, a nawet wyjdźmy przed dom. Pomyślą oni, że jesteśmy potężnymi wodzami licznego plemienia w sąsiedztwie, i... i... nie zrobią nam nic złego, w obawie zemsty ze strony naszych współbraci.

— Ale Eliza i kucharka? — zapytała Kizia.

— Zapomniałaś, że one jako służące naszego domu, nie będą widziały nic niezwykłego, choćby nawet zostały oskalpowane i upieczone żywcem na wolnym ogniu.

— Ale powrócą do życia po zachodzie słońca?

— Ale kto jest oskalpowanym albo upieczonym, musi to przecie i poczuć, jeżeli nie dziś to na jutro — powiedział Cyryl. — Zdaje mi się, że Antea ma słuszność, ale potrzeba nam do tego dużo piór.

— Pójdę do kurnika — zaproponował Robert. — Siedzi tam indykan, mógłbym mu poobcinać pióra bez wielkiej szkody. Dajcie mi tylko nożyczki.

Blizsze zbadanie przekonało dzieci, że niema Indyan na podwórzu przed kurnikami. Robert wyruszył na wyprawę.

W pięć minut był już z powrotem — błąd — ale z wielkim pękiem piór w ręku.

— Słuchajcie! — zawołał. — To nie żarty! Obciąłem indykanowi pióra, a kiedy już miał wyjść, zobaczyłem Czerwonoskórego, siedzącego pod starym kojcem. Potrząsnąłem piórami, wydałem okrzyk wojenny i uciekłem, zanim się wygramolił z pod kojca. — Pantero! pozdejmuj kolorowe kapy z łózek...

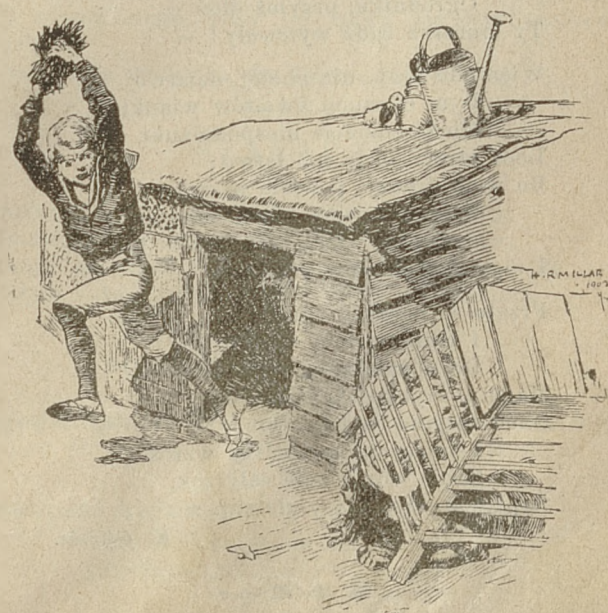
Dziwna rzecz, jak bardzo podobnym do Indyan można się zrobić za pomocą kołder w kolorowe pasy, piór na głowie i kolorowych wstążek. Naturalnie żadne z dzieci nie miało długich, czarnych włosów, ale, że był w domu czarny papier do okładania szkolnych książek, pokrajały go na długą, cienką frendzlę i poprzywiązywały na głowach żółtymi szarfami od świątecznych sukienek Antei i Kizi. Za wstążki pozatykane były pióra. Papierowa frendzla wyglądała z daleka jak długie, czarne włosy, szczególnie gdy jej końce zaczęły się zwijać jak loki.

— Ale nasze twarze! — zawołała Antea. — Nie mamy cery Indyan... Jesteśmy biali i bladzi, nie wiem dla czego? Cyryl wygląda jak polakierowany na biało...

— Wcale nie! — oburzył się Cyryl.

— Prawdziwi Indyanie mają skórę brunatną — objaśniał Robert. — Powinniśmy mieć choć czerwoną: zawsze to lepiej mieć czerwoną skórę, jeśli się jest Indyaninem.

Czerwona sucha farba, używana przez kucharkę do malowania ceglanej podłogi w kuchni, była nie-



Robert wracał błąd ale z wielkim pękiem piór w ręku.

zawodnie najczerwieńszą rzeczą w całym domu. Dzieci rozrobiły ją z mlekiem na spodku, tak jak widziały, że robi kucharka do podłogi. Potem pomalowały sobie twarze i ręce tak starannie, że były czerwone, jak u prawdziwych Indian, a może nawet czerwiesze.

Przekonały się, że wyglądają strasznie, jeśli Eliza spotkawszy je w korytarzu, narobiła wielkiego krzyku. To niespodziewane uznanie bardzo je ucieszyło. Powiedziały jej, żeby była cicho, że to tylko zabawa — i cała czwórka udrapowana w kołdry, ustrojona we wstęgi i pióra na głowach, w pełnym rynsztunku czerwonoskórych, wyruszyła mężnie na spotkanie wrogów. Mówię *mężnie*. Dla tego tak to mówię, że chcę być grzeczny, ale w każdym razie dzieci poszły...

Wzdłuż żywopłotu odgraniczającego ogród od zarośli, widać było rząd czarnych głów, ubranych w wielkie pióra.

— To nasz jedyny ratunek! — szepnęła Antea. — Lepiej tak będzie, niż czekać na ich morderczy napad. Musimy udawać, tak jak w tej grze w karty, co to się udaje, że się ma asy, choć się ich nie ma. Teraz wszyscy razem: Hu-u-u-u-p!

(d. c. n.)

Poseł niebieski.

Bez skrzydełek i bez wiosel,
Z nieznanego świata dali,
Na powietrzu cichej fali,
Ja — niebieskich krain poseł
Zbiegłem do was — lecz widzicie,
Że nie wiele darów mam —
Dotąd nawet nie wiem sam,
Czem obsypać was obficie?

Bo ja ludziom nic nie daję
Bez własnego ich udziału:
Kwiat rozwija się pomału,
Nie odrazu dom powstaje —
Lecz, by wzniósł się gmach wspaniały,
Lub wydała róża woń:
Ogrodniku, przyłóż dłoń —
Ty murarzu bądź wytrwały! —

Więc ode mnie nie chcej, dziatwo,
Bym ci rzucił kwiatów wianki —
Mieć będziecie niespodzianki,
Lecz otrzymać je nie łatwo;
Bo wam drodzy, powiem szczerze,
Że znam tylko jeden cud:
Jest nim wiara — praca — trud,
I matczynych słów pacierze.

Przeto — naprzód ogrodnicy
I murarze moi dzielni —
Do nożyków i do kielni
Marsz z szybkością błyskawicy!
Choć opłynie czoło potem,
I zmęczeniem spojrzysz wzrok
Minie wdzięcznie cały rok,
Sypiąc waszej pracy złotem.

K. Gliński.

Sarenka.

— Ach! mamusiu, jakie to śliczne stworzenie ta sarenka! — mówiła Zosia, głaszcząc pieśczołtliwie małą sarenkę, przyniesioną z lasu przez leśnika, która stojąc drżąca i wylękniona, patrzyła trwożliwie wkoło siebie smutnemi, czarnemi oczkami.

— Ja ją wezmę, mamusiu do altanki w ogrodzie, dam jej jeść i kołderkę lalki do okrycia, żeby tak nie drżała z zimna. Będzie jej dobrze u nas, nieprawdaż? — szebiotowała Zosia.

Mama dziewczynki zbliżyła się również do sarenki, a pochyliwszy się nad nią i pogłaskawszy zgrabną główkę zwierzęcia, odrzekła ze współczuciem:

— Nie, córeczko, sarence u nas nie będzie dobrze, bo jest bardzo maleńka, matka karmi ją jeszcze, to tęskniłaby za nią nieustannie. Nie z zimna też drży biedactwo, lecz ze strachu i z żalu za matką swoją. Pomyśl Zosienko, czyby ci dobrze było, gdyby tak obcy jacy ludzie zabrali cię ode mnie i w świat daleko wywieźli?

W oczkach Zosi łezki żalu i współczucia zabłyśły, przytuliła się do swej mamusi, wołając:

— O! za żadne skarby nie chciałabym być z daleka od mamusi! biedna sarenka, biedne maleństwo! Już teraz rozumiem, że ona się tak za swoją mateńką żałośnie ogląda. Chodźmy do lasu, może tam odnajdziemy i oddamy córeczkę zmartwionej matce, która pewno też szuka swego dziecka.

Mama ucałowała dziewczynkę i wraz z leśnikiem puściła się z Zosią w głąb lasu, położonego tuż za wsią.

Niedługo szukano, z daleka już usłyszeli żałosny głos starej sarny, jakby nawołujący zaginioną dziecinę, która odpowiedziała podobnym beczaniem, a puszczona przez leśnika, za chwilę w radosnych skokach znalazła się obok swej matki.

Zosia na widok radości uszczęśliwionych swobodą zwierząt, klasnęła w rączki i roześmiała się serdecznie, a choć przykro jej było trochę rozstawać się z sarenką i pozbawiać miłej rozrywki, lecz dobre serduszko dziewczynki przemogło tę przykrość.

Czy Zosia dobrze postąpiła?

M. R. S.

Zofia Bukowiecka.

MOJE OPOWIADANIA.

XIII.

Bolesław Krzywousty.



czy widzieliście w nocy jasne obłoczki, które błyszczą jak świetlana para? Z tych obłoczków, to jest z mgławic, gdyż tak się one nazywają, powstają gwiazdy. Czemu nie rozwiał wiatr pary, czemu nie

rozpadły się cząstki mgławicy? Nie rozpadły się, bo był w nich punkt, który uczeni punktem ciężkości zowią. Ten punkt przyciągał do siebie rozżarzone gazy mgławicy, skupiał je w gwiazdę, aż nabrała mocy i przez długie wieki świeciła potem ziemi.

— Więc co z tego — powiecie — co ma mgławica do naszego opowiadania?

Ma wiele podobieństwa. Jak z tą mgławicą, tak było z państwem Polan, powstało ono z drobnych dzielnic i szczepów, które skupił dokoła siebie ród Piastowy. Bo widzicie jest tak: Bóg powołuje naród do pracy nad postępem świata, ale nie od razu cały naród rozkazanie to rozumie. Rozumieją głos Boży tylko najmądrzejsi i najlepsi, takimi byli Piastowie, przez nich urosło państwo w potęgę, prowadzili je ku światłu i uczyli kochać ojcowiznę. Naród czuł w Piastach tę miłość, dlatego skupiał się około swych królów, dlatego państwo Polan nie rozpadło się, przetrwało bunt pogan za Mieczysława II-go, ani nie zginęło razem z Bolesławem Śmiałym, owszem przez te sto lat, które upłynęły od koronacji Bolesława Chrobrego skrzepło w moc, przybyło mu sił, jakich nie miało wprzód.

— Skrzepło w moc? cóż znowu, toż teraz najgorzej działo się właśnie, bo stan duchowny i rycerski nie chciał słuchać Hermana.

Prawda, źle było. Źle było i to, że te stany wynosiły się nad kmieci, nad grodowych mieszkańców, ale między złymi bywają dobrzy, między duchownymi i świeckimi mężami byli też i tacy, którzy rozumieli, że Bóg powołał ich ojcowiznę do pracy nad postępem świata i poświęcili życie na jej usługi.

Przybyło więc sił państwu, bo pomyślcie, o kimże dotąd mówiłam w moich opowiadaniach, czyje wspominałam nazwiska? zawsze tylko Piastów. Długo tak się działo, ale powoli obok królewskiej rodziny ukazywać się zaczynają postacie ludzi słynnych cnotą, mądrością, rycerskimi czynami, świętobliwością życia. Oni, pomagając Piastom, stanowili siłę państwa, oni zajmowali się jego polityką.

Pierwszy raz wspominałam wyraz polityka, należy dobrze wyraz ten zrozumieć.

Każdy człowiek pracuje na to, żeby pozyskać trwałą byt dla siebie i rodziny, żeby uszlachetnić się i wykształcić, państwo musi też pracą dążyć do utrwalenia swego bytu, do oświecenia i uszlachetnienia narodu. Stąd wynika bardzo wiele interesów, które należy dobrze prowadzić, aby zapewnić państwu siły potrzebne do jego postępu. Dobrze prowadził sprawy państwa Bolesław Chrobry, dlatego mówimy o nim, że był dobrym politykiem, zatem zajmować się polityką, znaczy pracować dla państwa, zajmować się sprawami państwa.

Za Władysława Hermana dużo było już ludzi rozumnych i cnotliwych, którzy wykształcili się w polityce przy królach, na służbie rycerskiej, na urzędach. Zrozumieli oni rozkazanie Boże i pracowali dla państwa razem z Piastami.

Pracował dla państwa wojewoda Sieciech, ale źle użył swojego wpływu, bo niedołęznego króla Hermana z synami poróżnił, pracował kasztelan Wrocławski, Magnus, który się za tymi synami ujmował, albo arcybiskup gnieźnieński Marciu, który zgodę w monarszej rodzinie przywrócił.

Zgoda! Smutno pomyśleć, prawda? że ojca z synami godzić musiano jak malców, kiedy się o zabawkę pokłóć i to ojca całego narodu, bo króla. Przypomnijcie sobie jednak, że Herman od dziecięcych lat był niedołęznym, nad takim łatwo każdy górę weźmie. To też brał nad monarchą górę stan rycerski i nieraz unosił się samowolą ze szkodą innych stanów. Ale, że ci rycerze byli zuchy nad zuchami to też pewna, jeszcze za Chrobrego bili się siarczyście, a teraz zrozumieli, że samo męztwo nie wystarcza.

— Toż męznym był i Bolesław Śmiały, a przepadł wyklęty — mówili, płacząc za wygnańcem.

— Nie wystarcza, o nie! Żeby prowadzić sprawy narodowe, trzeba więcej niż męztwa, trzeba zapomnieć o sobie dla dobra państwa. Tak mówili rycerze, a kto takie rzeczy rozumie, ten wielkich może dokonać czynów, opowiem wam o tych czynach, posłuchajcie:

Zmłował się Bóg nad narodem Polan i dał mu trzeciego Bolesława na wodza i gospodarza.

Był już tego imienia Chrobry, był Śmiały, ten trzeci zwał się Krzywousty.

— Czemu krzywe miał usta Bolesław syn Hermana? — zapytacie. — Nie wiem, może skrzywił je od goryczy, którą go w dzieciństwie pojono.

Smutne było dzieciństwo Piastowego pisklęcia, pomyślcie tylko, ile doznał bólu młody książę.

(d. c. n.)

FIGIEL.

(z ludowych zagadek)

Pewna staruszka mówiła do swej córki: „Moja córko, powiedz swojej córce, żeby jej córka nie przebudziła swojej córki”.

Czem była staruszka dla śpiącej dziewczeczki?

SZARADA.

Pierwszej każdy, jak może, unikać się stara,
Trzeciej każdy używa, kiedy jest w chorobie,
Drugą na *wspak* — litera, a w każdziutkiej dobie
Całych każdy z was posiąść radby co niemiara.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 34-go.

Zagadki geograficznej. Brok — miasteczko w gub. Łomżyńskiej.

Niteczki Aryadny:

Łaska Boża, dobre zdrowie,
Co lepszego, niech kto powie!

Skrzynka do listów.

Długo, bardzo długo marudził list **Marudki z nad Rastawicy**, za to ja nie marudząc, się Marudce kochanej serdecznie uściśnienia, a jej dobrej pannie Tinie przypomina obietnicę odwiedzenia naszej redakcyi.

Jeszcze dawniejszą datę nosi list **Wszędobylsi**: czerwiec 1903 roku. Czy być może, aby dotąd wędrował po świecie i dopiero we wrześniu przyniósł mi twoją skargę na nieodesłaną nagrodę za kaligrafię. Czekam niecierpliwie świeższych nowin od Wszędobylsi i przesyłam jej tymczasem serdeczne uściśnienia.

Spóźniły się bardzo i wiadomości kochanej **Lilli Wenedy**, a do ciebie zawsze pilno mi z odpowiedzią, bo słowa Kraszewskiego na nagłówku listu wypisane: „Człowiek stworzony do pracy, praca jest rodzajem modlitwy Bogu milej” to hasło twego użytecznego życia, Lillo. Lilla jest opiekunką starej babci i młodszej siostrzyczki Zosi, która wielką sprawiła jej pociechę, bo z nagrodą przeszła do wyższej klasy. Lilla dopomaga do utrzymania domu, stołując 8 osób, są to wszystkie krewni, tem niemniej trzeba się starać o smaczne obiady i często zaglądać do kuchni. A jak Lilla spędza wieczory po całodzienną pracę? Oto obie z Zosią siedzą na niżutkich stołeczkach przy łóżku chorej babuni, a babunia opowiada swoim sierotkom o dawnych lepszych czasach, lub też grają i śpiewają przy fortepianie, a kochana babunia słucha muzyki wnucelek. I przy tych wszystkich zajęciach ma Lilla jeszcze czas uczyć nie tylko siebie, ale i swoją bardzo niepojętną służącą. „Trudno, Jaskółeczko, trzeba iść dalej drogą niezbyt radosną” kończy swój list moja kochana Lilla, a ja tej siedemnastoletniej pracownicy śię pozdrowienie siostrzane i proszę Boga, by dał jej moc wytrwania.

Miłośniczka piękna pyta o konkurs na wypracowania. Oho! moja panienko, spóźnione pytanie, bo konkurs zamknięty, za to nawlekaj igłę i dalej do szycia, zdążysz na konkurs robót, którego termin upływa dopiero 1 Października. Od świętej Anki zimne wieczory i ranki, pamiętajcie zbierać dla sierot gałganki, a z tych gałganków moje przyjaciółki uszyją sukienki lub chociaż fartuszki.

Dziękuję z całej duszy młodzieży **Hołowaniewskiej** za dar przysłany dla biednych. Tytu ich w tym roku przysporzyła wojna!

Staruszka Lili śliczną przysłała kartę. A gdzie to zawędrowałaś kochana Lilo, aż nad brzeg morza, zazdroszczę ci widoku jego fal, nie daj się tylko im porwać, bo zradne ono i o przypadek zawsze nie trudno. Jeśli wracać będziesz przez Wiedeń, to przypominam, że na Spiegelgasse jest bazar polski, który odwiedzić warto i zakupić w nim sprawunki na gościńce dla rodziny lub domowników. Bazar musi być piękny, skoro cesarz austriacki oglądał go i chwalił majoliki Kołomyjskie, hafty i kiliny ze szkoły księżnej Czartoryskiej, także śliczne drewniane zabawki wyrabiane w Jaworowie. Obejrzyj te piękności nasze, Lilo, i napisz, co ci się z nich najwięcej podobało.

„Muszę się wziąć na seryo do korespondencyi z Jaskółką” pisze **Niebieska Perelka** i pyta, czy zgadzam się na to. Ależ najchętniej, cóż może być lepszego nad stałą wymianę myśli, nad dążenie do uszlachetnienia charakteru. Bo ten jest przecież cel naszego grona. Cieszy mnie twoje zamiłowanie w nauce historii, radziłabym ci tylko czytać rzeczy poważniejsze, jak np. Szkice Szajnochy lub Kubali. Pierwsze zwłaszcza to prawdziwe skarby dla umysłu. Twój, Perelko, jest już dość rozwinięty, pokochasz łatwo cudne opisy przeszłości i zachęca cię one do tem gorliwszej pracy nad przyszłością świata, a każdy z nas przecież ma obowiązek dorzucić swoją cegiełkę do tej budowy. Ty ją nawet już dorzucasz, ucząc ubogą dziewczynkę. Szczęść Boże takiej pracy. Dobrzelnianie podziękuj za pamięć o Jaskółce.

Prawda, **Nawojko z nad Huczwy**, że dawno nie miałam od ciebie listu, ale zapomnieć? Mylisz się, ja nie zapominałam o mojej milej gromadce. A czy ty i Zosia zdrowe już zupełnie po szkarlatynie? Czy rozpoczęłyście na nowo lekcje z wiejskimi dziewczynkami? Dziękuję serdecznie za kwiatki, zasługa w tym roku suszy utrzymać ogródek tak, aby nie poschły w nim rośliny, ale im więcej dokładamy starań, tem droższe nam to co wychowamy, tem większy żal za tem, co ginie przedwcześnie, jak biedne Kochające Serduszko. **Halusek** nie doniosła mi szczegółów choroby siostrzyczki, darmo więc pytasz Nawojko, jakkolwiek one były, ślimy wszyscy modlitwę za drogą dziewczynkę, a wyrazy głębokiego współczucia dla osieroconej rodziny.

Smutne lecz stosowne wybrałyście sobie pseudonimy, drogie moje **Stęskniona** i **Wagnanko**, bo bolesne to szukać po dalekim świecie zdrowia dla ukochanych. Oby Bóg wrócił je raczył waszemu braciszкови i pocieszył was, a także szanownych rodziców waszych po stracie Janusia, tego małego ptaszka, jak go ślicznie w swym liście nazywasz Marylko. Dajże dowód rozważli, radząc sobie bez mamy w Rydze i w dalekiej do Insbruku podróży, dumną jestem z takiej korespondentki, proszę was też obie usilnie o częste i długie listy. Daj Boże, bym w nich prędko wyczytała, że Józio zdrów już zupełnie.

Słusznie, **Halko z nad Teterowa**, napisałaś w jednym z dawniejszych listów, że między wierszami moich odpowiedzi czytałaś przywiązanie do ciebie. I mogłabym cię nie kochać za tyle serdecznych, dobrych uczuć. Więc dlaczego przypuszczasz, że tylko staruszki potrafią być użyteczne? Omylnie to bardzo zdanie, nie spiesz się z doradnictwem, bo spiesząc, pogubisz dużo niepostrzeżonych chwil, a każdą z nich można użyć na dobro własnej lub cudzej duszy. Piszesz, że nie więcej zdziałać dziś nie zdołasz, jak uszyć dla biednych sukienkę lub nauczyć czytać jakie maleństwo. To bardzo wiele, Halko, a przecież możesz jeszcze dawać z siebie dobry przykład, możesz kochać wszystkich otaczających, kochać nie tylko rodzinę, ale koleżanki, służących, każdego kto w dom wasz wejdzie, kochając, znajdziesz zawsze sposobność do dobrego wpływu, a czy pomyślałaś, jak wiele znaczy czasem jedno życzliwe spojrzenie, jedna chętna usługa?

Więc nie narzekaj, Halko, na swoje dzieciństwo, tylko staraj się je wyzyskać, mnie cieszy to, że masz dopiero dwa-naście lat, bo długo jeszcze będziesz pisywała do

waszej *Jaskółki*.



Logiczny Kazio.

Korepetytor. Dlaczego nie nauczyłeś się historii Greków? **Kazio.** A to proszę pana dla tego, że Grecy naszej historii też się nie uczyli.

Po lekeyi geografii.

— Józio, dlaczego Anglię nazywają Wielką Brytanią?
— Jaki też jesteś niedomyślny! Dlatego, że tam jest dużo wielkich brytanów.